

# MŁODA MYŚL

Pismo Uźniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”  
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku.

**Cena prenumeraty:** Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie  
1 zł. 40 gr., cena numeru w miejscu 40 gr. z prze-  
syłką 50 gr.

## TREŚĆ NUMERU.

- |  |                      |
|--|----------------------|
| 1. Do maturzystów . . . . .                    | IV ż.                |
| 2. Zwyczaje wielkanocne nad Sanem . . . . .    | A. F. Wanke.         |
| 3. Radjo w życiu nauczyciela ludowego. . . . . | .                    |
| 4. Cienie dni minionych . . . . .              | Kurs V męski.        |
| 5. Sen anachorety . . . . .                    | V męski.             |
| 6. Oracz . . . . .                             | Czechówna, kurs I ż. |
| 7. Pieśń dzwonów. . . . .                      | W. Dudziński.        |
| 8. Rola wyobraźni u sportowca . . . . .        | Z. W.                |
| 9. Nie udało się. . . . .                      | IV ż.                |
| 10. Kronika. . . . .                           | .                    |
| 11. Odpowiedzi Redakcji. . . . .               | .                    |

Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Semi-  
narjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

Redaktor: K. Kotłowski

Wiceredaktor: E. Bielawska.

# MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

## Do maturzystów.

Wy w świat idziecie, radośni i szczęśliwi! Do życia rwie się wasza dusza! Krew szybko tętni i woła: „czynił czynił czynu“! Dostyc pracy przygotowawczej, dostyc oczekiwania! Teraz samodzielnie, o własnych siłach, idziecie w życie. Nadszedł czas, gdy sami będziecie mogli działać, tworzyć, dawać ze siebie. Podczas gorączkowej pracy przedmaturalnej w niejednej głowie snuje się nić złotych marzeń. Układacie plan przyszłej pracy, myślicie o tem, co zroczicie dla kraju, dla rodziny, bo każdy ma jakieś obowiązki, każdy ma zaciągnięty dług, który zwrócić musi. Szczęść Wam, Boże! Po latach pracy zostańcie tak pełni entuzjazmu, jak teraz, a zdobywszy przez pracę doświadczenie, budujcie przyszłość Wolnej Polski — „niosąc przed narodem oświaty kaganiec“. Niech żadne przeszkody i burze Was nie złamią. Posiadzcie upór Farysa i zwyciężajcie. Lata, spędzone w szkole, niech zostaną dla Was jasnym, dobrem wspomnieniem, które będzie pokrzepieniem dla serca w chwilach krytycznych. Czas niech usunie z pamięci wszystko, eo w tych latach było smutne—niech zostaną w niej tylko wspomnienia chwil świetlanych.

Co roku z tych murów szkolnych wyjdzie gromadka, która poda Wam dłoń pomocną, stając do pracy na tej samej niwie, z nowym zapałem, z nową energją. Idźcie więc i nie traćcie wiary, że pracując dla wielkiej, świętej idei, znajdziecie siły do wytrwania na posterunku.

IV ż.

## Zwyczajy wielkanocne nad Sanem.

Niedziela Palmowa. Wylała się rzeka ludu z kościoła. Rośli mężczyźni, piękne, wesołe kobiety, a prawie każda z kobiet niesie palmę poświęconą, niesie troskliwe, „boć to święte, no i — lekuje”. Widzisz, jak ta lub owa skubnie i połknie „bazię”, uchroni to od bólu gardła. Palma potrzebna jest przy wypędzaniu po raz pierwszy bydła na pastwisko. Krowa, uderzona palmą, będzie napewno dobrze się chować i dużo mleka dawać.

Śpieszą ludzie do domów posilić się i obmyślić roboty przedświąteczne. O, bo też to pracy w wielkim tygodniu! Trzeba okna „dubeltowe” wyjąć, dom wybielić, słowem, zrobić porządek w całym gospodarstwie. A ileż roboty mają gospodynie w przyrządzaniu pieczywa. Rety! To też przez pierwsze trzy dni trwają roboty „grubsze”, a następne trzy to już pieczenie ciast, przygotowywanie kielbas i t. p. „darów bożych”. A jaki wówczas ruch, rwetes po domach! Szczególnie w piątek i sobotę. Każdy ma jakieś zajęcie, nawet dzieci, które dzielnie w pracy pomagają. Zawsze jednak znajdzie się jakaś chwila wolna, by pójść do spowiedzi i do grobu Chrystusa.

Grób ten urządzi się zwykle w jednej z bocznych kaplic kościoła. Wewnątrz kaplicy, w powodzi kwiecia, za lekką mgłą tryskającej fontanny, przy śpiewie kanarków, leży Ten, który z miłości dla człowieka pozwolił na poniżenie i ukrzyżowanie siebie, leży Ten, który symbolicznie ma zmartwychwstać znowu, leży Chrystus. Przed drzwiami stoi straż, stoi gwardja. Młode, marsowe twarze, w wysokich, białych, barankowych czapach z kitami, w czamarach, przepasani pięknymi, wzorzystymi pasami, z szablicami w łapach, dzielnie wyglądają gwardziści. Taka już natura Polaka: daj mu jeno szablę do dłoni, a już ciężkiej ręki wojak z niego będzie. Przed wejściem do grobu leży na pięknym dywanie krzyż z Chrystusem Panem, obok zaś skarbona drewniana. Rozmodlona fala ludu posuwa się na kolanach do krzyża, ze czią całuje nogi Zbawiciela i składa ofiarę do skarbanki.

Smutny wówczas wygląd ma wnętrze kościoła. Wszystko pogrążone w ciemnościach, jeno u grobu błyszczą mdłe światelko. Na znak żałoby krzyże, obrazy osłonięto fioletową materją. Od czasu do czasu ciszę przerywa wyrwane z głębi piersi westchnienie lub szept modlitwy. Powaga, smutek, żałoba.

Jeśli smutny wszedłeś do świątyni, smutek twój potęguje się, zamienia się w ból. Zda ci się wtedy, że jakaś siła mucarna igra tobą, twem życiem. Coś wyje ci wtedy w piersi, coś szarpie za serce... otwiera niezagojone jeszcze rany. I tak pragniesz

w tej chwili zapomnienia tego, co było, co przeszło, pragniesz spokoju... śmierci! Śmierć jedna może utulić żal, zmrozić do reszty zastygłe uczucia i łzy, te łzy ciężkie, sieroce zlodowacić... Niestety, ze snu budzi cię smutna rzeczywistość, a z tobą, w dalszym ciągu, na wieki, zostają... twe łzy... Masz czasem chwile piekielne, chwile smutku, lecz dla siebie, a dla ludzi twarz „jednakową”, spokojną, uśmiechniętą.

Rezurekcja. Dźwięczą dzwony, jazgoczą dzwonki, nie słychać już głuchego głosu kołatek. Jarzą się światła, murami wstrząsa huk wystrzałów moździerzowych... A lud płynie różnobarwną falą za kapłanem z monstrancją i śpiewa pieśń zwycięstwa, pieśń radości: „Chrystus zmartwychwstał... Alleluja, Alleluja!” Ciesz się narodzie, ciesz, boć jest się czego radować, boć Chrystus zmartwychwstał.

Cieszy się człowiek, przyroda, cieszy się świat cały.

Dźwięczą dzwony; sygnaturka głosem nerwowym, niespokojnym trzepocze się wysoko, tworząc piękną harmonję z kilkoma głosami dzwonów większych, powolniejszych, majestatyczniejszych. Dzwonią, huczą donośnie, a czujesz w ich chóralnym głosie, prócz powagi, jakąś radość, jakieś wesele: Alleluja! Wiosna, wiosna! Alleluja!

Wita lud zmartwychwstałego Boga, wita Go przyroda. Oto wschodzi majestatyczne, radosne słońce wiosenne, otaczając połyskami blasków świat cały.

Śpiewa lud, śpiewa skowronek, zawieszony hen, aż gdzieś pod niebem.

Wsluchujesz się w szumy, w dźwięki budzącej się ze snu zimowego przyrody, pieścisz wzrokiem świat kochany i czujesz chęć niezmierną rzucić się na tę Matkę-Ziemię, objąć Ją, przycisnąć do Niej swą pierś i, przyłożywszy usta, całować.

Z człkiem coś się dziwnego dzieje. Czujesz, jak krew ci żywiej tętni, jak płuca napełnia ci ożywcze, czyste powietrze, przepełnione zapachem rozbudzonej ziemi.

Hej! Wiosna to, wiosna. Polska wiosna.

Wracają ludziska z kościoła. Każdy śpieszy do swego domu. Tu z rodziną dzielisz się jajkiem. Składasz najdroższym życzenia, składają i tobie. Czujesz, że kochasz ich, że uszczęśliwiłbyś ich nawet kosztem szczęścia własnego, lecz czujesz równocześnie żal jakiś do nich, do całego świata. Otwierają się zaskrzepłe rany przy tem jajku święconem. — Ten żal niczem nieuzasadniony... Dlaczego niema już między obecnymi tych najdroższych z pośród ludzi, dlaczego niema rodziców?

O, nie! Wy, najdrożsi, przebywacie zawsze ze mną, mimo, że ciała wasze zabrała ziemia. Jam już szczęśliwy, już nie widzicie ły w mem oku. A Wy, kochani, śpijcie i śnijcie. Wypiastujcie czarowną legendę szczęścia pod tą darnią mogilną, bo na ziemi tak o nie trudno...

W drugim dniu świąt obserwowany jest zwyczaj, zwany „śmigusem“. Młodzież i dzieci oblewają się wodą. Zdarza się, że rozswawoleni chłopcy tak troskliwie zajmą się jakąś osobą, że biedna ofiara wychodzi z takiej operacji bez jednej suchej nitki na sobie.

W ten dzień chodzi się zwykle na cmentarz. Widzi się czasem przy grobie zapadłym, nad którym sterczy krzyż, pochylony ze starości, jeszcze bardziej pochyloną starowinę. Trzęsą się biedactwu wychudłe ręce, ły spływają po pomarszczonej twarzy, wyjmują zawiniątko i kładzie na grobie trochę święconego dla duszyczek. „Niech i chudziny podjedzą“, szepczą bezzębne szczęki.

Dobra, poczciwa kobieta!

Dzień ten wspólnych odwiedzin ludzi i duchów, dzień Zmartwychwstania, kończy właściwe święta.

Nie kończy się jeno święto wiosny. Wie o tem dobrze wschodzący ognistą tarczą księżyc. Posuwa się powoli po niebie, majestatycznie przechodząc w blaskach od czerwieni i szkarłatu, do seledynu i bieli srebrzystej. A pochodowi jego towarzyszą mirjady gwiazd, tworząc przesłiczny, świetlisty, migoczący bladem blaskami płaszcz Królowej-Wiosny.

A. F. Wanke, k. IV. m.

## Radjo w życiu nauczyciela ludowego.

Żyjemy obecnie w czasie największego rozkwitu techniki, która doszła do niebywałych odkryć. Jesteśmy dziś świadkami takich rzeczy, o których praojcowie nasi powiedzieliby, iż są dziełem rąk szatana.

Jednym z tych „dziwnych dziwów“ jest radjo, stosunkowo dość młode, lecz tak rozpowszechnione, że mówią o niem nawet dzieci. To nadzwyczajne rozpowszechnienie zawdzięcza radjo z pewnością olbrzymiemu znaczeniu, jakie posiada w obecnym życiu kulturalnem. Dotąd żaden wykształcony człowiek nie wyobrażał sobie życia bez telefonu, dziś to samo możemy powiedzieć o radju; które staje się niezbędnem wszędzie, lecz niezbędniejszem w życiu wiejskiego nauczyciela.

Bezkresne, ośnieżone pola ciemnym płaszczem otula mrok. Wśród tych pól, w niewielkiej kotlinie, przy rzece czernieje kilka niskich chat. Przez małe, zamarzniete okienka żaden promyk światła nie wydziera się na zaśnieżone pola. Widocznie strudzeni mieszkańcy, ukołysani poświstami wiatru, śpią już. Jednej tylko chatynki okna jasnymi oczyma patrzą w niezgłębioną dal. Ta chata—to szkoła, a czuwający w niej człowiek—nauczyciel. Pochylony nad stołem, z ołówkiem w ręku, wytrwale spisuje wykłady, które mu z dalekich miast niosą fale radjowe. Po całogodzinnej, żmudnej pracy siada on każdego wieczora przy stoliku, nakłada słuchawki i myślą przenosi się z głuchej wsi do gwarne go miasta, by wchłaniać w siebie słowa słynnych profesorów, by, „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe“. Czasem w ręku jego nie widać ołówka. Odłożył go i słucha znowu; teraz fale radjowe niosą mu nie słowa poważnej nauki, lecz miękkie, jasne tony muzyki, które do duszy jego wlewają spokój, którą gorycze i dodają sił do dalszej walki i życiem.

Ze skreślonego powyżej obrazka widzimy, że radjo w życiu nauczyciela ludowego ma doniosłe znaczenie. Ułatwia mu bowiem chwywanie przyspieszonego tętna życia doby obecnej i w szarżynę życia wnosi jaśniejsze momenty.

## Cienie dni minionych.

Lubię pierwszy, wiosenny grom, który w tysiącznych echach i odgłosach przebiega półokrąg nieba i gubi się gdzieś w jego bezmiarach; lubię, gdy na jasnych lazurach, powleczonych lekką powłoką z chmurek, błysnie nieskałanym kolorytem łuk tęczy; lubię, gdy na wonnych płatkach kwiatów zawisną perły deszczu, w których promień słońca zalśni iskrami brylantów; lubię pachnący, kwiecisty maj z jego młodą zielonością, z jego soczystą świeżością barw i wonią kwiatów; lubię go za jego pęd do życia, za jego wiarę w przyszłość, za jego czarujący, pełen powabu, uśmiech; lubię wszystko, co jest pięknem i prawdziwem.

Lecz czy lubię cierpienie i ból ludzki? Czy lubię ły, płynące po zeszkłej twarzy żebraka; jęk matki, oplakującej swe dzieci; smętną nutę fujarki, lecącą nad ugorami naszej ziemi; tęskną pieśń wieśniaka-oracza, idącego smutnie za sochą; jego pieśń jest także łzami.

Czy ja to lubię?

Pamiętam jedną chwilę w mem życiu. Był właśnie maj, był wieczór majowy, cichy i wonny. Odgłosy pierwszego gro-

mu potężnymi akordami huczały jeszcze, ale gdzieś daleko, daleko, w błękitnej otchłani nieba, usianego potarganymi obłokami, i milkły powoli. Półkole tęczy jaśniało barwami na lekko zachmurzonym błękitcie, krople rosy błyszczały wszędzie, dym z przygasłego ogniska siał się błękitną powłoką tuż po samej ziemi. Zwinne jaskółki uwijały się nad lśniąca powierzchnią stawu, dotykając czasami jego spokojnie błyszczącej tafli wodnej. Markotny bocian stał na swoim gnieździe, zarzucił głowę wtył i dumał, dumały też przydrożne, rosochate wierzby, a spokój cichego, wiosennego wieczora panował wszędzie. W dali, za czarnymi od roli pagórkami, widniały słomiane strzechy chat, widniała grobla, wyłożona miejscami kamieniem, lub poprzecznie ułożonym okrągłakiem. Dokoła czerniał las, połyskiwały liczne „oka“ na równej, błotnistej przestrzeni smutnej panoramy, oblanej światłem gasnącego słońca.

Był wieczór i stado bydła wracało z pola, pobrękując dzwonekami. Za niem, z torbą, przewieszoną przez ramię, z biczem w rękę szedł zgarbiony starzec — „Rataje“ wracali z pola, ze śpiewem na ustach wracały dziewczęta, niosąc na głowach wiązki świeżej trawy, z zatkniętymi w nie sierpami. Gdzieś daleko skrzypiał, zapewne ciężko naładowany, wóz, rozlegało się parskanie i tętent koni: po całodziennej pracy wracał lud wioskowy na spoczynek pod swe słomiane strzechy. Wszystko było tak zgodne z tym cichym majowym wieczorem, nic nie raziło kontrastem z przyrodą, owszem, uzupełniało ją, wytwarzając jeden obraz harmonji barw i linii.

Byłem już niedaleko wsi, gdy do słuchu mego doleciał odgłos chlapania bosych nóg po rozmiękłej glebie i szczyry dziecięcy płacz, płacz dziecka, które odczuwa swą krzywdę, a nie ma komu się poskarżyć na swą niedolę.

Siedmioletni—tak mi się zdawało—chłopczyk z biczykiem w rękę, bez czapki, pomykał prędko w kierunku olchowych zarosli, czerniejących w dali, łkając bezustannie płaczem cichej skargi, dobywającej się z czystej dziecięcej duszy.

— A dokąd tak pędzisz? — spytałem nagle małego. On, zapewne przestraszony mym głosem, rzucił się nagle w bok z błotnistej drogi, zapłakał jeszcze rzewniej i pomknął, jak spłoszony ptak.

— Pewnie pastuszek — przemknęło mi się przez głowę — porządnie wymyślany, a może i wyszturchany przez starszych, pędzi szukać zostawionej w polu owieczki.

Słońce już zgasło i noc schodziła na ziemię, odgłosy ludzkie powoli milkły, tylko pies, tknięty złem przeczuciem, wył żałośnie gdzieś w wiosce i płacz dziecka rozlegał się rzewliwą

nutą, lecąc po polach i odbijając się echem o las, aż rozproszył się w tumanach i mroku nocy.

\* \* \*

— Biedny chłopcze—myślałem—zrodziłeś się tu, na tym smutnym ugorze, wyrosłeś tu, jak dzikie zwierzątko, w ciągłym strachu, w ciągłej poniewierce, zawsze głodny, widząc dokoła siebie jeno nędzę, brud i ciągle narzekania. Skoro przestałeś pęłzać po ubitej ziemi w biednej izbie twych rodziców, nim zdążyłeś stanąć na własne nogi i zacząłeś ciekawie się rozglądać dokoła z chęcią poznania przedmiotów cię otaczających, już się zapoznał z twardym życiem, bił cię zapewne ojciec, gdy zbyt byłeś ciekaw i wciskałeś się tam, gdzie cię twoja ciekawość wiodła, bił cię zapewne starszy brat w chwili złego humoru, biła cię może i matka, gdy zbyt często prosiłeś o chleb.

Czy miałeś jasne chwile?

Owszem, miałeś je, bo jesteś dzieckiem, jesteś w tym błogosławionym okresie, kiedy doznane krzywdy prędko się zapominają, i teraz, gdy znajdziesz swoją zbląkaną owieczkę i zjesz kawałek czarnego chleba, z jakąż rozkoszą wciśniesz się gdzieś pod dach, na wiązkę startej słomy i usniesz z uśmiechem na zczerniałej od wiatru i słońca twarzy, zapominając, że jutro, skoro błysnie słońce, znów cię obudzą ze snu, postawią na nogi, dadzą torbę z chlebem, kij w ręce i każą iść na dzień cały w pole, bez względu na chłód lub niepogodę. Lecz nim to nastąpi, ileż musisz się namartwić, biegając z płaczem po pustych poletkach, jakiegoż strachu musisz zaznać! Każdy krzak w mroku nocy musi wydać ci się strachem, każdy karcz budzi w tobie złudzenie poszukiwanej owieczki, aby później przeistoczyć się w twoich zapłakanych oczkach w jakiegoś dziwoląga z przygodnie siyszanej bajki i napędzić ci nowego strachu.

Biedne dziecko—dziecko natury i twardego losu. Czasami w twojej zapłakanej twarzy widzę twarz swoją z przed kilkunastu lat i zdaje mi się, że płaczę razem z tobą.

Dziś jestem daleko od cieniów minionej przeszłości, los mi wyznaczył inną drogę, a ty? Zapewne kroczysz nią dalej, zapewne błąkasz się nadal po pustych ugorach, teraz już nie z biczykiem, torbą i kromką czarnego chleba, lecz kosą, lub grabiami w rękę, albo chodzisz za pługiem i broną. Czy ty miałeś książkę lub pióro w ręce przedtem, nim stałeś się człowiekiem dojrzałym? Czy zaglądasz teraz do niej. Zapewne nie. Jak byłeś, tak i pozostałeś dzieckiem natury, nie znającym innej książki, prócz książki pól i lasów, z której odczytujesz swój twardej los, na której kreślisz czarne brzozy piórem-lemieszem.

Czy powinienem zatem kochać ciebie, który jesteś uosobieniem łez, płynących po zeschniętej twarzy żebraka, jęku matki, smutnej nuty fujarki, tęsknej pieśni oracza?

Tak, po stokroć tak. Powinienem znaleźć cię w twojej zapadłej wiosce, odszukać cię w twojej chałupie, stojącej na krańcach wioski—chałupie wyrobnika, wiecznego parobka gazdy wiejskiego, żyda karczmarza, i wielu, wielu innych, na których pracujesz, bez słowa protestu, jak to nieletnie dziecko, które potrafi jeno płakać, biegając po pustych ugorach.

*Kurs V-y męski.*

## SEN ANACHORETY.

Fantazja.

Bór ciemny, wiekowy, groźny.

Bór tajemniczy.

O czym dumasz nad samotnym jeziorem? Czemu tak smutnie szumisz konarami twych drzew-olbrzymów? Jaką i komu nuczysz pieśń pogrzebową, jaką sagę wysnuwasz, co wspominasz, czego żałujesz?

Podszyty srebrzystym wrzosem, otulony atlasowo miękkim mchem, stoisz tu od wieków, nietknięty, nienaruszony. Ty jesteś panem tej ziemi. Ludzie do ciebie jeszcze nie dotarli, stalowa ich siekiera nie wrębała się dotąd w twe łono. Ciemny, tajemczy, dajesz schronienie wilkom, krukowi i pustelnikom.

\* \* \*

Już noc zapadła.

Na piaszczystym, płaskim brzegu, w bladym świetle księżycy, w płasach i skokach wirują rusałki. Lekkie, jak powiew zefiru, przezroczyście, jak toń jeziora, wirują i tańczą w oparach letniej nocy. Oto, jak mgły wieczorne, migają lekko, nieuchwytnie. Błady księżyc rzuca na nie swe srebrne promienie. Wirują i tańczą rusałki z rozpuszczonym włosiem, wilgotnym, splecionym zielonym bluszczem, ciężko opadającym na ich piersi i plecy. Oczy ich blade, bez życia. Dokoła tak cicho, tajemniczo. Kilka gwiazd mruga na niebie, drzewa ciemne, nieporuszone, cicho drzemią nad brzegiem jeziora i odbijają się czarnymi plamami w jego toni. Księżyc zwolna płynie, czasem schowa się za chmurkę, znów się wynurzy, znów zginie; srebrne promienie za chmury zabierze, to znów je rzuci na toń jeziora. Rusałki tańczą. Lecz cóż to! Nagle pierzchnęły spło-

szone. Już ich nie widać, przybrzeżne szuwary i głębia jeziora skryły ich lekkie postacie. Strach próżny; wszędzie cisza, wszędzie spokój, nic nie mąci ciszy nocy.

Oto znów jedna główka powoli wynurza się z wody i trwoni rozgląda dokoła. Wszystko spokojne, jak przedtem; więc bliżej i bliżej do brzegu płynie rusałka, cała wynurza się z wody i, milcząc, siada na przybrzeżnym kamieniu. Z jej ciężkich włosów kroplami spływa woda. Niebezpieczeństwa niema. Znow w płasach i skokach wirują rusałki: jedne siedzą na brzegu i grzeją się w świetle księżycy, inne, milcząc, czeszą swe wilgotne włosy.

Toń jeziora tak spokojna, niezmacona. Cisza niemej nocy panuje wszędzie. Lecz oto w gronie rusałek powstał niepokój—nie, to nie jest strach, ich ruchy nie zdradzają chęci ucieczki; skupiwszy się w gromadkę, utkwili rusałki swe oczy w toń jeziora. Czekają. Nagle spokojna powierzchnia jeziora drgnęła, o przybrzeżne sitowia odbiła się i cicho—plusnęła lekka fala, bez szelestu wynurzyła się nagle tuż tuż, przy samym brzegu młoda i piękna rusałka. Z rozpuszczonym włosiem, z uśmiechem na bladych ustach, wyszła na piaszczysty brzeg. Milczącym ukłonem przywitały ją inne. To ich królowa, ich pani. Lekkim krokiem, tuląc się w płaszczyźnie swych bujnych włosów, zwolna kroczy ku nim, one zaś, milcząc, otoczyły ją dokoła. Ciekawy księżyc wyjrzał właśnie z za chmurki i rzucił na nie swe drzące promienie. Rusałki mówią, słuchajmy:

Królowa: Nim księżyc błady skryje się i zgaśnie, nim zorza purpurą wschód pozłoci, bawmy się siostry.

Wszystkie: Bawmy się, radujmy, noc letnia, tak krótka.

Królowa: Z nadejściem dnia znów w głębi jeziora spocznijemy na miękkich trawach, teraz zaś korzystajmy z krótkiego czasu.

Wszystkie: Korzystajmy z krótkiej nocy majowej.

\* \* \*

Nad brzegiem jeziora, w owym starym borze, u hogo mieszka stary pustelnik. Surowy jego żywot, pełen był twardej pokuty, pełen postów, modłów i trudu. Już grób w skale wykuł sobie starzec, już w trumnie czarnej oddawna sypia i w swych mnogich modłach prosi o śmierć Pana Życia i Śmierci. Często, gdy złota tarcza słońca schowa się w borze, gdy zorza wieczorowa zajaśni na niebie, anachoreta wychodzi ze swej nikłej chatki i, obróciwszy się twarzą na wschód, modli się. Modlitwy jego zazwyczaj przeciągają się długo. Zatopiony w modłach, nie widzi starzec, jak mrok nocy powoli pokrywa góry

i las, jezioro, okolone puszcza, i jego nikłą chatę. Modli się starzec; wtedy, gdy niepojęty smutek rozpiera mu pierś, wtedy, gdy żal za grzechy dręczy jego sumienie, i wtedy, gdy grzeszne myśli, jak stado czarnych kruków, dobijają się do jego duszy, modli się starzec przed swą ubogą chatką przy blasku księżyca.

\* \* \*

Raz, jak zwykle, stał przed progiem swej chaty ze wzrokiem, utkwionym w niebo. Usta jego szeptały modlitwę. Już zorza dogasała. Mrok nocy z wolna pokrywał ciemny bór i toń jeziora. Starzec się modli. Krwawy pot wystąpił mu na skroń, twarda, surowa jest jego modlitwa, ciężka pokuta, bo też i wielka była wina.

On szepcze: „O Panie, dlaczego rój wspomnień mnie dotąd nawiedza, czemu modlitwą i postem nie mogę zabić grzesznych myśli?”

Starzec się modli, lecz skołatanе ciało potrzebuje spoczynku; jeszcze jedna modlitwa—ostatnia, a sen twardy go zmoczy. Modli się starzec, a już dąbrowa, spowita mgłami, już księżyc bladawy płynie po niebie.

Jak cicho, spokojnie dokoła! Jezioro pokryło się mgłą, wysoko w niebie mruga kilka gwiazdek. Przybrzeżne szuwary czujnie drzemią, nad ciemnym borem króluje sen. Oblany światłem księżyca, stoi starzec, oparty o nikłą swą chatę, z głową, nisko schyloną na piersi.

Wtem — przebóg! Z pośród zielonego bluszczu wynurza się nagle rusałka i z wolna kroczy do brzegu. Biała, jak pierwszy śnieg, powiewna i drżąca, otulona w ciężkie, skąpiane w wodzie włosy, kroczy rusałka do brzegu. Na jej ciele połyskują krople wody. Cicho, jak cień, zbliża się rusałka do brzegu i milcząc, siada. Swym mglistym wzrokiem wpija się w biednego starca. Pustelnik drży, strach wyciska mu zimny pot na skroniach. Siedząc na brzegu, owija się rusałka zielonym bluszczem i wilgotnym włosem i mami starca ku sobie. Przebóg! Już druga tuż przy niej siedzi i ciekawie patrzy na starca, już inne kroczą do brzegu i tam, za tym bluszczem, jak białe cienie, igrają i tańczą po fali.

Zdrętwiały ze wstydu i strachu starzec, chowa w swych dłoniach oblicze. Radby uciec, lecz wielka jest moc szatana! Starzec patrzy. Rusałki, w gromadzie siedząc, zdają się nie widzieć starca. W niedbałych pozach, na miękkim mchu, figlarnie się uśmiechają i patrzą na księżyc. Oto część ich w piasach i skokach tworzy sprężyste koło, szybko wirując, oddala się na środek jeziora i tam w świetle księżyca giną, to

znów się zjawiają rusałki nagle, nieuchwytne i, znów wirując, suną do brzegu.

O zmero szatańska!

\* \* \*

Nazajutrz cicho było w chatce pustelnika. Na ubitej ziemi, przed Pańskim Krzyżem, tarzał się w prochu starzec. Ciężka włosiennica pokrywała zorane dyscypliną jego plecy. Starzec się modlił...

V. m.

## O r a c z.

Za wsią rozciągały się szerokie pola. Pod białą, śnieżną powłoką spoczywały one przez całą zimę, a gdy powiały pierwsze tchnienia wiosny, poczęły budzić się do życia. Na wąskich miedzach pojawiły się młode trawy, wśród zeschniętych łodyg i liści, na ugorze przebijały się delikatne jeszcze listki chwastów, tu i ówdzie jaśniały pierwsze kwiaty. Długo leżały odłogiem szerokie, puste pola, długo odpoczywała ziemia, a jeśli wydała jakie plony, były to tylko chwasty. Dziś, w pierwszych dniach wiosny, chce przyjąć w swe łono złote ziarna nowych zasiewów, rzucone z wiarą i nadzieją przez silną dłoń oracza.

Dziś trzeba siewców.

Coraz szybszym krokiem przybliża się wiosna, dokoła rozsiewa barwy i wonie, zdobi ziemię w puszystą zieleń traw i kwiatów, ale i chwasty nie śpią. Coraz dumniej podnoszą głowy, z każdym dniem jest ich więcej.

A ziemia czeka.

Aż pewnego dnia ruszył rolnik z pługiem w pole. Piękny i radosny był to dzień. Oracz rozmiłowanym wzrokiem objął pola i ochoczo wziął się do pracy. Ostrzem pługa rozdzierał łono ziemi, zostawiając za sobą czarne błyszczące skiby. Pot sperlił mu czoło, ręce mdlały od pracy, lecz on na nic nie zważał i szedł dalej, wciąż dalej, wpatrzony w ziemię i w swoje siwki, które raz po raz popędzał przeciągłem „Wio“! Ciężka to była praca, ale oracz sił nie szczędził, przyszłość wynagrodzi mu położone trudy. Gdy zaorane ciągnęły się już zagony, nastąpił najradośniejszy moment, rzucanie w ziemię ziarna.

Na bok zmęczenie, zwątpienie, trudy!

Do siewu w Imię Boże!

Wolno, z namaszczeniem postępował siewca. On, prostak, czuł i rozumiał wielką chwilę, od której jutro zależy. Z wiarą i nadzieją rzucał ziarna w ziemię, moc jakaś była od niego i potęga. Pola zasiane.

Teraz tylko jasnych promieni słońca, ożywczych kropel deszczu, a pola okryją się falistą runią młodych zbóż, a potem morzem kłosów. Trud rolnika da mu plon stokrotny: mniej będzie ugorów na ojczystej glebie, więcej złotych kłosów.

Na takich siewców czeka nasza Ojczyzna, na siewców, co by z myślą o przyszłości chętnie znieśli trudy, co by na uroczyste święto siewu szli z wiarą i wytrwałością.

*Czechówna, kurs I z.*

## Pieśń dzwonów.

Kiedy się rozedrgały i rozjęczały śpiżowe serca dzwonów, gdy, kołysząc się, niemy metal błysnął w słońcu złocistą powłoką i wyrzucił z siebie kaskadę bezładnie splątanych dźwięków, serca ludzi, zgromadzonych u stóp kaplicy miejskiego cmentarza, zabiły silniej, a wzrok ich mimowoli skierował się na drewnianą wieżyczkę i został do niej przykuty dziwną siłą.

Płynęła pieśń dzwonów!

Kołysała się nad piaszczystymi pagórkami mogił, unosiła się nad bezlistnymi jeszcze wierzchołkami drzew i biegła hen, nad szare prochy niezoranych pól, potężna i szybka, jak wichra, i piękna!

Taka piękna i smętna!

Łkała łkaniem ludzkim, jak owa sierota, pochylona nad mogiłą swej matki, targała duszą, porywała serca i płynęła w dal niewidzialną falą, unosząc z sobą ciche szepty modlitw i zwiewną muzykę organów.

Na mogiłkach jarzą się żółtymi płomykami świeczki. Pomniki i krzyże ozdobione są grubemi wiankami z jedliny lub świerku. Tylko hen, tam, w końcu cmentarza, pod jednym ze zwyczajnych, drewnianych krzyżyków złoci się piaskiem świeży grób. Nad grobem klęczy mała dziewczynka, sierotka.

Oczy ma pełne łez, które, tocząc się po wychudłych policzkach, spadają na mogiłę i wsiąkają pomiędzy ziarenka piasku.

Drżące wargi szepczą modlitwę „za matkę najdroższą”. Klęczy sierotka i wpatruje się w wonne dymy kadzideł, kłębamami unoszące się ku górze.

Ksiądz intonuje suplikację.

Lud kornie chyli swe głowy przed Stwórcą i hołd Mu składa.

W powietrzu, jak krzyk rozpaczliwy, unoszą się słowa błagalne pieśni.

— O Jezu! Jezu! Jezu! Wysłuchaj nas, Panie!

Sierotka wznosi swój wzrok do miejsca, gdzie na zwyczajnym, drewnianym krzyżu rozpięty jest Chrystus z twarzą smutną, lecz tak łagodną, że oczu od Niej oderwać nie można.

Patrzy długo... długo na świat, za który życie oddał.

Patrzy sierota, patrzy w ową cudowną twarz Chrystusa, a On, Pan nasz najdroższy, poruszył, zdawało się, skrwawioną ręką, jakby chciał nią błogosławić i wyrzekł cicho, ale tak cicho, jakby słowa Jego były pieśnią dzwoneczków polnych:

— Azali troszczyć się masz o siebie? Patrz na one ptaszki i kwiateczki polne!...

Uśmiechnęła się przez łzy do Chrystusa twarz sieroty. Do duszy sieroczej wstąpił spokój i dziwna chęć do życia.

A pieśń dzwonów płynęła w dalszym ciągu, lecz brzmiała jakoś radośniej i niosła w swej melodji dziwne szczęście, jakieś zadowolenie z życia, i napełniała niem serca ludzi.

Płynęły również łzy.

Ale łzy te były wyrazem skruchy i poddania się woli Bożej.

*W. Dudziński.*

## Rola wyobraźni u sportowca.

W ruchu sportowym czynnikiem dominującym jest wyobraźnia.

Gdy młody chłopak zabiera się poważnie do jakiegokolwiek ćwiczenia sportowego, siłą, która go pociąga, nie jest myśl o tem, że dzięki zaprawie pierś jego zwiększy swą objętość, a trawienie odbywać się będzie jeszcze intensywniej, niż dotychczas.

Ów chłopak — marzy. Marzy o zwycięstwach i laurach, o sławie, która pono daje człowiekowi maximum osiągalnego szczęścia. Wyobraża sobie, że jest pierwszym, pozostawiwszy daleko w tyle resztę współzawodników, że ścigają go tysiące zachwyconych i zazdrosnych oczu, że towarzyszy mu burza oklasków, że jego nazwisko, zamknięte dotąd w ścianach izby szkolnej, ulatuje nagle na olbrzymich skrzydłach.

Takie to marzenia, zdradzając wysiłki i rozpalając ambicję, roją się po młodych głowach.

Zczasem ostudza je rozczarowanie i detranozuje „trzeźwy rozsądek”. I ten, który uleczył się z marzycielstwa, znika z areny sportowej. Jeszcze ze starego nałogu czasem wyjdzie, aby wygasły entuzjazm zastąpić rutyną, a wyobraźnię — doświadczeniem.



A publiczność, ta, bez której wszelkie zasady sportowe są nie do pomyślenia?

Gdyby publiczność nie kierowała się wyobraźnią, nie byłoby sportu publicznego. Widowiskom przyglądałoby się kilku fachowców i paru zimnych estetów. Gdyby nie wyobraźnia, publiczność zrozumiałaby, że są zdrowsze lub praktyczniejsze sposoby zużytkowania czasu i pieniędzy, niż zaleganie trybun.

Wartość widowisk sportowych polega na tem, na czem i wartość dobrej książki. Czytelnik musi poniekąd żyć fikcją, widz musi żyć złudą, musi uczestniczyć. Widowiska sportowe dla człowieka, pozbawionego wyobraźni, nie będą niczem interesującym. Stąd spotyka się często szczere oburzenie pewnych ludzi: „Jak można z głupiego kopania piłki robić takie historie? Jak można choć na chwilę zapomnieć, że to tylko zabawa, jak można angażować w niej uczucia, namiętność, ból i radość?”

Czy uzyskanie lub stracenie bramki, skoczenie wyżej lub niżej nie jest czemś nieskończenie drobniejszym od każdego innego faktu w życiu społecznym?

Z głosami tych racjonalistów musimy się zgodzić, są bowiem trzeźwe i rozumne.

Ale ta zgoda nie przeszkodzi nam pójść na zawody i zachować się tak, jakby na zielonej murawie rozstrzygały się losy narodów.

Z. W.

## Nie udało się!

(Obrazek z naszego życia).

Pauza.

Do naszej klasy wchodzi panna Helena i ogłasza, że są potrzebne cztery dziewczynki „na godzinę do pracy z dziećmi w ogrodzie”. Mnóstwo rąk podnosi się do góry. Każda z nas chce pracować, bo mamy wolną godzinę, a przyjemniej spędzić ją w parku z dziećmi, niż w klasie. Zresztą pociąga nas sama próba zorganizowania pracy z dziećmi, która wydaje się czemś bardzo łatwym. Nakoniec cztery wybranki losu pędzą na parter do Szkoły Ćwiczeń. Spotykamy tu „panią”, która mówi, że dostaniemy pod swą opiekę dzieci z drugiego działu, które mają pójść do ogrodu i wykopywać z trawnika żółty, kwitnący mlecze.

— Uważajcie tylko, by dzieci nie biegały po trawniku i nie niszczyły trawy—zastrzega pani.—Dobrze, dobrze wołamy i biegniemy na podwórze, gdzie dzieci oczekują na nas, ustawione w pary. Maszerujemy. Dzieciaki idą porządnie, nucąc melodję jakiejś piosenki. Już jesteśmy w parku. Rozdajemy dzieciom drewniane łopatkę. Teraz maleństwa rozbiegają się po trawniku i każde

próbują wykopać z korzonkami krzak mlecze. Niestety, tu zaczyna się nasza tragedia. Zewsząd słyszemy głosy:

— Proszę pani, ja nie umiem kopać!

— Proszę pani, ta łopaska niedobral!

— Proszę pani, gorąco!

— Proszę pani, ja nie chcę kopać!

— Proszę pani, ja powalam rączki! Któryś z chłopców rozciągnął się jak długi na miękkiej, jasno-zielonej trawie.

— Dzieci, nie można biegać! Chodźcie wykopywać mlecze, tutaj z brzegu!— woła najbardziej, jak może, stanowczym głosem Stacha.

Nie wywiera jednak wielkiego wrażenia ten rozkaz. Kilka dziewczynek spleta sobie równianki, kilku chłopców goni się po alei, niewielka tylko garstka pracuje, usuwając z trawnika żółte kwiaty. Wreszcie, ku wielkiej naszej rozpacz, widzimy w ręku kilku dziewczynek—niezapominajki!

— Skąd one je wzięły? Czy zerwały je z klombu? — Skąd ty zerwałaś te kwiatki?—pytam małą winowajczyni.—Dostałam je od Stacha—odpowiada mi z pewną siebie miną, zagadnięte maleństwo. Wtem otwiera się okno od mieszkanki pani Przełożonej i słyszemy wołanie: Stasiu! Stasiu! Stacha o czemś zawzięcie rozprawia, o czemś przekonywa chłopców i nie zwraca uwagi na wołanie. Wreszcie muszę ją przywołać sama, krzycząc na cały głos:—Stasiu, przecież pani cię woła! Stasia słyszy i idzie do pani Przełożonej, która pyta ją, co dzieci robią i dlaczego biegają po trawniku.

Nakoniec rezygnujemy z wrywania kwiatów z trawnika, zalanego słońcem; prowadzimy dzieci na drugi trawnik, ocieniony kasztanami. Tu część pracuje, a większość „małych leniusezków” odpoczywa, siedząc na ławce. Chłopcy zapamiętale pakują wyrwane chwasty do taczki i odwożą. Wśród wysokiej trawy miga kędzierzawa główka Krysi Muszanki, która raz po raz przynosi całe naręczce wyrwanych chwastów.

Godzina skończona. Dzieci idą myć ręce, zostawiając niedużą, zieloną przestrzeń, pozbawioną żółtych kwiatów. My też wracamy do klasy z dosyć smutnymi minkami — Nie udało się nam — wzdycha Irka.

— Nie udało się, ale dlaczego?

— Może byłoby lepiej nie zgłaszać się?

— Ej, nie odzywa się któraś — tylko trzeba było inaczej pracę zorganizować: trzeba było dziewczynki podzielić na dwie grupy i każdą grupę dać jednej z nas; a chłopcom dać dwie opiekunki, bo to żywiol rozhułkany i niesforny. Może to i dobra rada, szkoda tylko, że spóźniona.

IV. z.

## KRONIKA.

29 kwietnia. Staraniem kursu IV m. odbył się „Wieczór pieśni”. Na program złożyły się: referat o znaczeniu pieśni, jednośne deklamacje, oraz muzyka i śpiew. Treść referatu była ciekawa i dobra, szkoda tylko, że prelegent za szybko czytał, przez co ucierpiały ostatnie rzędy słuchaczy. Wieczór zakończono odśpiewaniem piosenek, z których oberek wywołał ogólną wesołość i liczne oklaski. Na tem wieczór zakończono.

3 maja. Rano o godz. 8-30 obchodziły dzieci Szkoły Ćwiczeń podwójną uroczystość: 137-letniej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3-go Maja i poświęcenia sztandaru. Przemawiała kol. Skupinówna.

Zapewne na długo zapamiętają nasi malusińscy chwile, w których po raz pierwszy składali przyrzeczenie przed godłem Tej, którą już teraz uczą się kochać i w imię której zaczynają każdy dzień pracę w szkole. Na zakończenie uroczystości zespół smyczkowy IV z. odegrał Hymn 3-go Maja.

O godz. 10 odbyła się Msza św. w kościele farnym i nastąpiło złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza. Po południu uroczysta akademja, w której czynny udział wzięł chór Seminarjum. Wieczorem, o godz. 7, odbyło się w gmachu szkolnym akademja dla całej młodzieży Seminarjum..

Na jej program złożyły się: 1) referaty okolicznościowe: kol. Leśnej i k. Borkowskiego; 2) deklamacje; 3) śpiew, 4) muzyka. Dzięki pp. prof. Chmielewskiemu i Chmarze część koncertowa wypadła imponująco i wzbudziła szczerzy zachwyt wśród licznie zebranych słuchaczy.

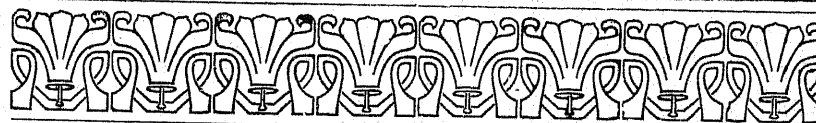
6 maja. Staraniem kursu IV z. odbył się „Wieczór książki”. Koleżanki, Olesińska i Skupinówna, omówiły w swych referatach szczegółowo historję, oraz znaczenie książki. Po deklamacjach wykonał p. prof. Chmielewski na fortepianie kilka utworów muzycznych Czajkowskiego i innych.

7, 8 i 9 maja. Odbył się Kurs Oświaty Pozaszkolnej dla kursów czwartych i piątych. Wykłady mieli pracownicy „Centralnego Biura Kursów dla Dorosłych”, p. p. M. Godecki i K. Frelek. Zainteresowanie wśród młodzieży duże.

13 maja. O godz. 7 wiecz. odbył się w gmachu szkolnym koncert, urządzony staraniem młodzieży. Dochód przeznaczono na zasilenie funduszu „Kasy Wycieczkowej”.

17 maja. Wieczorem o godz. 7-30 wygłosiła kol. Żukówna odczyt o Mielczarskim. Treść referatu zawierająca życiorys, oraz działalność i znaczenie tego wielkiego kooperatysty.

20 maja. Kurs III m. urządził wieczór ku czci swego patrona, Szymona Konarskiego. Na program złożyły się: a) szczegółowy życiorys bohatera; b) deklamacje; c) muzyka.



## Odpowiedzi Redakcji.

„Obrazek z życia”. Treść naiwna, styl nieudolny. Lepiej — przynajmniej narazie — rozstać się z Muzą, a wrócić do gramatyki. Postanowiliśmy nie drukować.

„Z dźwiękiem pieśni”. Rzecz pod względem treści słaba, choć styl nie bez wartości. Nie będziemy drukowali.

„Historja szlaku w internacie żeńskim”. Treść, błaha, w stylu duże braki. Nie możemy zamieścić.

„W rocznicę konstytucji 3-go Maja”. „Witaj, majowa jutrzhenko”. Ze względu na braki językowe nie umieścimy.

„Szczęście”. Temat niefortunnie wybrany, niebezpieczny. Rzecz w szczegółach ciekawa, zwłaszcza pod względem stylu, w całości robi wrażenie czegoś zanadto iluzorycznego. Brak tu prawdy wewnętrznej, czuje się naciąganie pewnych sytuacji do powiętej zgóry tendencji. Nie wydrukujemy.



Drukarnia Diecezjalna  
w Łomży.